

Jakub Wolak: Kłody pod nogi. Marszałek Leszczyński do Króla, 30 listopada 1562 r.

Wyrastająca z kultury rycerskiej dawna wspólnota obywatelska – wspólnota wojowników, gdzie prawo do głosu było nierozzerwalnie związane z obowiązkiem obrony kraju – jest od nas tak odległa, że dystansu tego nie sposób zmierzyć, nie należy on bowiem do liniowego porządku czasu – pisze Jakub Wolak w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Zgromadzeni. Sejmowe oblicza”.

Nieustannie nawracające próby budowania analogii między współczesną Polską a Rzeczpospolitą szlachecką – czy to w kontekście geopolityki i systemu międzynarodowego, czy patologii społeczno-ekonomicznych, czy wreszcie wewnętrznego rozstroju wspólnoty politycznej – urosły niemal do rangi komunału, stając się wreszcie pożywką serialowej popkultury; ich nużąca powszedniość jaskrawo dowodzi, że wciąż żyjemy w cieniu tamtego wieku i tamtych pokoleń. Dwudziestowieczni Polacy, spadkobiercy roku 1918, dostrzegali w tamtej dziedzinie czasu źródło odrodzonego państwa i jego instytucji; źródło, dopowiedzmy, na poły mityczne, pochodzące bowiem jakby z innego eonu, innego wieku ludzkości. Ten dystans, epokowa przepaść, dzieląca nowoczesne rewolucje, pobór do wojska i broń maszynową od szabli, popisu i konfederacji, fenomenów bliższych spiżowemu światu Homera niż wiekowi żelaza, każe lokować peroracje o dorównywaniu Pierwszej Rzeczypospolitej raczej w sferze zaklęć, a nie prognoz, analiz, strategii. O tej ambiwalentnej niewspółmierności między państwem a jego rodowodem dobrze przekona się ten, kto przyjrzy się tekstom

leżącym u podwalin zjawiska, jakie w ostatnich miesiącach skupia niespotykaną dotychczas uwagę, krystalizując się w postaci streamów z Sali Posiedzeń.

Chodzi o diariusze szlacheckich sejmów. Jednymi z najlepiej opracowanych są te z lat 1562–64, a więc obejmujące sejm piotrkowski i sejm warszawski, w wydaniu Tytusa Działyńskiego z 1861 r., w Poznaniu, czcionkami Ludwika Merzbacha. Legenda tych dwóch sejmów, zwanych egzekucyjnymi, może się równać chyba tylko legendzie sejmu lubelskiego 1569 roku. Pierwszy z nich, piotrkowski, zwołano w chwili wielkiego napięcia – ostatni sejm rozjechał się wszak przed trzema laty, 8 lutego 1559 r., a król od tego czasu przebywał poza Koroną, na Litwie. Szlachta koronna, domagająca się zwołania sejmu egzekucyjnego, usiłowała wywrzeć na zwlekającym monarsze presję. Kiedy w maju 1562 r. po raz kolejny nie podał terminu obradowania sejmików, szlachta samozwańczo zwołała zjazd w Sandomierzu, który odbył się 10 sierpnia 1562 r. Podczas zjazdu szlachta, uzurpując sobie prerogatywy monarchy, jednostronnie zwołała sejm do Piotrkowa i rozesłała listy do senatorów, w których zaznacza się typowa dla tamtej epoki retoryka upadku: Rzeczpospolita to „budowanie, które gdy od wielkich wiatrów ze wszystkich stron z węglów wystąpi, pewnie ruiną jest zagrożona”.

Spośród licznych źródeł famy sejmu piotrkowskiego najbardziej emblematycznym jest chyba właśnie obraz przybycia króla – jego powrotu do Korony – który pozostawił nam Marcin Bielski. Król, zdecydowany poprzeć postulaty walczącej o egzekucję braci szlacheckiej, „przyjechał dwór swój wszystek w szarzą ubrawszy, barwę tę ziemiańską nazywając; i już nie do wieże, ale do Bugaju dworu drzewianego nad stawem Bugajem zsiadł”. Od tego symbolu – dworu

królewskiego w szaraczkowych suknach – rozpoczyna się mityczne przymierze władcy ze szlacheckim ludem, skutkujące (częściowym) sukcesem egzekucji. Do legendy weszła także sprawczość owych sejmów, wyrażona w rewizji nadań, uchwaleniu kwarty czy tępieniu incompatibiliów; wreszcie fakt, że przypadły one na nie tylko na czas rozwoju i tryumfu republikańizmu rosnącej w siłę średniej szlachty, ale także na moment, w którym polszczyzna była już pełnoprawnym językiem literackim. Sejmy lat 60. XVI są pomnikami polskiego krasomównia, wykarmionego szczerą, żywiołową politycznością.

Spójrzmy na otwierającą je mowę – witanie poselskie marszałka Rafała Leszczyńskiego z dnia 30 listopada 1563 r. Leszczyński, przywódca egzekucjonistów i ważny działacz reformacyjny, zwraca się w imieniu szlachty do króla. Rozpoczyna od przypomnienia zasad ustroju Korony, dziedziczonego po przodkach. Szlachtę, czyli rycerstwo, nazywa „trzecim stanem Rzeczypospolitej”. Następnie w ciemnych barwach rysuje trapiące Rzeczpospolitą nieszczęścia: brak dostatecznie surowych i równych kar za zabójstwo (ich wysokość zależała od stanu, z jakiej pochodziła ofiara), ucisk słabszych przez możnych czy niezabezpieczone granice. „Zaiste”, mówił poseł z Wielkopolski, „to są znaki gniewu Bożego, znak zginienia a upadku, bo wszystkie te Królestwa, które już upadek swój podstały, wszystkie te znaki przed upadkiem swoim widzieli, które w Polsce już się wypełniły”. Mowy tamtych czasów w niczym nie przypominają idyllicznych obrazów złotego wieku. Są pełne proroczości upadku, na których ciemnym tle pojawia się do dziś przywoływane wezwanie, hasło „naprawy Rzeczypospolitej”. Wezwanie to, o czym nie pamiętamy, miało znaczenie także teologiczne. Marszałek, złożony jakby w imieniu wspólnoty politycznej zbiorowy akt pokuty, liturgiczne *Confiteor*, w którym wyznał ciężce na niej grzechy, podkreśla, że „z tej strony smutek i żal, ale z drugiej strony zostawa część nadziei dobrej. A

to iż Pan Bóg wszechmogący dał to serce Waszej Królewskiej Zaczności, że chcesz naprawę uczynić skażonym a zaniedbałym prawom naszym”. I zwraca się do Zygmunta Augusta w te słowa: „Tegoż ciało a krew w sercu Waszej Królewskiej Zaczności nie uczyniło, ale sam tylko Duch Boży. Choć jest pocieszna nadzieja, będzili od nas wdzięcznie przyjęta, a nie będzie zaniedbana. Toć jest znak, że Pan Bóg nie żąda zginienia naszego, ale chce naprawy, ale chce obrócenia naszego ku sobie i pokuty”.

Wedle teologii politycznej Rafała Leszczyńskiego, z jednej strony przemawiającego w imię wieloletniej tradycji, z drugiej – różnowiercy czeskiego wyznania, król jest narzędziem Ducha Bożego, natchnionym do naprawy Rzeczypospolitej, ocalenia wspólnoty od grożącego upadku. Poruszenia owego Ducha poczynają się w sercu – „wsruszże w sobie”, prosi Leszczyński, „Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, serce Miłosiernego Króla, a zrzucić ten szkodliwy pień z drogi, który zawadza do dobrego, który jest przyczyną do upadku, a zrzucić go ani zepchnąć żaden inszy z ludzi niemoże, okromia osoby Waszej Królewskiej Zaczności. [...] O! zlitujże się Wasza Królewska Zaczności, ulecz to chore ciało, którego sam głową raczysz być, bo zaginieli ciało zdrowe, i głowa w swej całości nie zostanie”.

„Szkodliwy pień”, który powracał w kolejnych mowach, zarówno sejmu piotrковского, jak i warszawskiego, oznaczał, jak tego samego dnia otwarcie sprecyzował podkanclerzy Padniewski, egzekucję. Znaczne części domeny królewskiej, dobra publicznego, pozostawały w rękach senatorskich rodów, powołujących się na dawne, podważane przez egzekucjonistów nadania – nadania, które rewidować mógł jedynie sam król. Pień, który „zawadza do dobrego” – zaprezentowany przez

Leszczyńskiego w eschatologicznej przeciw otoczce – przywodzi na myśl biblijny skandalon, „kamień obrazy” albo „potknięcia”, tłumaczony także jako „zawada” czy „zgorszenie”.

Metaforę chorego ciała politycznego najpełniej rozwinął zaś w propozycji sejmu warszawskiego podkanclerzy Myszkowski – było to niemal rok później, 22 listopada 1563 r. – a literacko przetworzył latem 1564 r. młody sekretarz królewski, Jan Dymitr Solikowski, pisząc alegoryczną „Facies perturbatae et afflictatae Reipublicae”, „Oblicze utrapionej i znękaniej Rzeczypospolitej”. Napisana na kanwie sejmów alegoria Solikowskiego opowiada historię chorej Rzeczypospolitej, od której odwracają się senatorzy – biskupi, wojewodowie i kasztelni – hołdujący jej rywalce, Rzeczy Prywatnej. W kulminacyjnej scenie „Oblicza” Rzeczpospolita przyjmuje podane jej dzięki staraniom króla i kancelarii symboliczne lekarstwo, zamknięte w puszcze, na której wypisane są następujące słowa, cytaty z Boecjusza:

„Szczęśliwy będziesz, rodzaju człowieczy,

Gdy miłość, co niebem rządzi,

nad ludzkimi sercami obejmie władanie.”

Mowa Leszczyńskiego, poruszająca rejestry kaznodziejskie i mieniąca się symbolami, nie jest zatem wyjątkiem, ale wyrazem tonu, jaki wybrzmiewał nieustannie na obu pamiętnych sejmach. Miały one charakter nie tylko polityczny, ale też religijny. Dla trzech sejmujących wtedy stanów najważniejszym zagadnieniem polityki nie była wolność

czy racja stanu – kategorie nowożytne – ale, zgodnie z tradycją klasycznych Aten i Republiki Rzymskiej, sprawiedliwość, rozumiana jako probierz własnej cnoty, w tym konkretnym wypadku: sprawiedliwe rozporządzanie dobrem publicznym, czyli domeną królewską. Polityczno-etyczne dążenie do sprawiedliwości wymagało przedsięwzięcia naprawy – naprawy rozumianej także moralnie, jako podźwignięcie z upadku. Upadek ten artykułowano zarówno po chrześcijańsku, jako skandaliczny przejaw wynikającego z grzechu skażenia natury, jak i wedle tradycji filozofii klasycznej – jako skutek zaniedbania ćwiczenia się w cnotie i zaniechania naśladownictwa ładu naturalnego, kosmicznego wzorca porządku. Pomimo przenikania się tak skrajnie odmiennych opcji metafizycznych – posługujących się przecież całkowicie przeciwnymi pojęciami natury – ludzie tamtej epoki podzielali poczucie upadku, a za swe zadanie uznawali wzajemne podźwignanie się ku dobremu.

Tymczasem zasadą duchową współczesnego parlamentaryzmu – a zarazem przyczyną jego „sukcesu” – jest narcyzm, biegunowe przeciwieństwo tego, co znajdujemy w diariuszach: trwogi. Świat ekranów, w którym żyjemy, jest światem najszczelniejszego odosobnienia – jednostki, wabione pozorem nieustannej dostępności i uczestnictwa we wspólnocie za pośrednictwem technik komunikacji, zostają niepostrzeżenie zamknięte w paranoicznych gabinetach luster. Narcyzm, choroba naszych czasów, całkowicie uniemożliwia jakiegokolwiek artykulację upadku czy nawet słabości, wymagające wspólnego wyznania win jako warunku oczyszczeń, duchowej naprawy. Wyrastająca z kultury rycerskiej dawna wspólnota obywatelska – wspólnota wojowników, gdzie prawo do głosu było nierozzerwalnie związane z obowiązkiem obrony kraju – jest od nas tak odległa, że dystansu tego nie sposób zmierzyć, nie należy on bowiem do liniowego porządku czasu. Pochodzi z innych eonów, innych jakości

wspólnotowego bytu, z których upadliśmy w inną epokę,
niewspółmierną z tamtą; tam, na staropolskich wyżynach, pozostały
jednak źródła sensów i znaczeń.

Nie dosięgniemy tych znaczeń, jeżeli nie weźmiemy w ironiczny
cudzysłów współczesnych ciał i instytucji, naiwnie przybierających
dawne, staropolskie imiona – takie jak „Sejm”. Możemy oskarżać je o
uzurpację i demaskować jako niegodne tego dziedzictwa; możemy
doszukiwać się w nich reliktyw dawnego ładu – wskazując choćby na
krzyż w Sali Posiedzeń, milczący niby głaz narzutowy pozostawiony
przez lodowiec miliony lat temu. Najlepiej będzie jednak, jeśli
spróbujemy przejść mimo, usuwając te przeszkody z drogi do naszych
źródeł. Nawet jeśli są dla nas zgorszeniem i kamieniem obrazy, nie
zatrzymujemy się przy nich, mińmy je albo zwałmy na bok, jak kłody, i
pnijmy się nadal w górę, wbrew upadkowi, w który wtrąca czas.

Jakub Wolak

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
